

*Słyszałam kiedyś powiedzenie,
że za każdym razem gdy ktoś umiera,
płonie biblioteka. Na moich oczach
obraca się w zgliszcza.*

NIEBO JEST WSZĘDZIE

JANDY
NELSON

moondrive



**NIEBO
JEST
WSZĘDZIE**

JANDY NELSON

**NIEBO
JEST
WSZĘDZIE**

TŁUMACZENIE GRAŻYNA WOŹNIAK

moondrive

KRAKÓW 2024

Tytuł oryginału: *The Sky Is Everywhere*

THE SKY IS EVERYWHERE by Jandy Nelson.

Copyright © 2010 by Jandy Nelson.

Originally published by Dial Books for Young Readers,

The Penguin Group (USA) Inc.

Published by arrangement with Pippin Properties,

Inc. through Rights People, London

Grafiki w książce: Jennifer Kelly

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2024

Copyright © for the translation by Grażyna Woźniak

Wydawca prowadzący: Natalia Karolak

Redaktor prowadzący: Anna Małocha, Dagmara Małyszka

Przyjęcie tłumaczenia: Natalia Karolak

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja i korekta: dzd.pl

Łamanie: To znowu ja

Promocja i marketing: Magdalena Wojtanowska

Projekt okładki i ilustracja na okładce: Agnieszka Gontarz

ISBN 978-83-8135-378-6

moondrive
www.moondrive.pl

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Mojej matce

CZĘŚĆ I

ROZDZIAŁ 1

Babcia się o mnie martwi. Nie tylko dlatego, że cztery tygodnie temu zmarła moja siostra Bailey, że matka nie kontaktowała się ze mną od szesnastu lat, ani nawet dlatego, że nagle myślę wyłącznie o seksie. Martwi się o mnie, ponieważ jedna z jej roślin doniczkowych dostała plam.

Przez większość mojego siedemnastoletniego życia Babcia wierzyła, że ta konkretna roślina, bliżej nieokreślonego gatunku, odzwierciedla moje samopoczucie w sensie emocjonalnym, duchowym i fizycznym. W końcu ja sama zaczęłam w to wierzyć.

Stojąca po drugiej stronie pokoju Babcia – wysoka na sto osiemdziesiąt dwa centymetry i ubrana w kwiecistą sukienkę – pochyła się nad usianymi czarnymi plamami liśćmi.

– Co to znaczy, że tym razem może nie wyzdrowieć? – zwraca się z tym pytaniem do wujka Dużego: arborysty, miejscowego entuzjasty trawki i na dokładkę szalonego naukowca. Duży wie co nieco na każdy temat, a na roślinach zna się jak nikt.

Komuś innemu mogłoby się wydać dziwne, czy wręcz szalone, że Babcia, zadając to pytanie, wpatruje się we mnie, ale nie wujkowi, bo on też się we mnie wpatruje.

– Tym razem jej stan jest bardzo poważny. – Głos Dużego rozchodzi się donośnie jak ze sceny lub ambony. Jego słowa mają wielką wagę. Nawet zwykłe „podaj sól” brzmi w jego ustach jak jedno z dziesięciu przykazań.

Babcia unosi ręce do twarzy z niepokojem, a ja wracam do pisania wiersza na marginesie egzemplarza *Wichrowych Wzgórz*. Siedzę skulona w rogu kanapy. Nie mam ochoty z nimi gadać, już prędzej napełniłabym sobie usta spinaczami do papieru.

– Ale przecież zawsze zdrowiała, Duży. Na przykład gdy Lennie złamała rękę.

– Tylko że wtedy liście miały białe plamki.

– Albo kiedy jesienią brała udział w przesłuchaniach na pierwszy klarnet, ale musiała się zadowolić drugim miejscem.

– Wtedy plamy były brązowe.

– Albo kiedy...

– Teraz jest inaczej.

Spoglądam w górę. Wciąż się we mnie wpatrują, strze-listy duet smutku i troski.

Babcia jest ogrodowym guru miasteczka Clover. Ma najbardziej spektakularny ogród kwiatowy w całej północnej Kalifornii. Jej róże buchają kolorami, mają więcej odcieni niż zachody słońca przez cały rok, a ich zapach jest tak odurzający, że według lokalnej legendy po ich powąchaniu można się zakochać w jednej sekundzie. Jednak pomimo całej troski i słynnej ręki Babci do kwiatów, roślina zdaje się podążać dokładnie tą samą drogą

co ja, niezależnie od jej własnej liściastej wrażliwości lub Babcinych wysiłków.

Odkładam książkę i długopis na stół. Babcia pochyla się nad roślinką, szepcze do niej, jak ważna jest *joie de vivre*, radość życia, po czym siada przy mnie na kanapie.

Potem dołącza do nas Duży, usadawiając swoją potężną postać obok Babci. Siedzimy we troje, strzechy niesfornych włosów przypominają stada lśniących czarnych wron na naszych głowach, i przez resztę popołudnia gapimy się przed siebie.

Tak właśnie się prezentujemy miesiąc po tym, jak moja siostra Bailey z powodu arytmii serca zmarła na scenie podczas próby do *Romea i Julii*. Całkiem jakby ktoś wessał horyzont do odkurzacza, akurat gdy patrzyliśmy w inną stronę.

ROZDZIAŁ 2

Ranek w dniu swojej śmierci
Bailey obudziła mnie,
wkładając mi palec do ucha.
Nienawidziłam tego.

Później zaczęła przymierzać bluzki, pytając:

— Która lepsza: zielona czy niebieska?

— Niebieska.

— Nawet nie spojrzysz, Lennie.

— Dobra, zielona. Mam gdzieś, w co się wierzysz.

A potem przekreściłam się na drugi bok i znów
zasnęłam.

Później dowiedziałam się,

że włożyła niebieską

i że były to ostatnie słowa, jakie ode mnie usłyszała.

(Znalezione na opakowaniu po lizaku na ścieżce do rzeki Rain)

Mój pierwszy dzień po powrocie do szkoły jest dokładnie taki, jak go sobie wyobrażałam – rozmowy cichną, uczniowie na korytarzu rozstępują się przede mną niczym Morze Czerwone, w ich oczach wzbiera nerwowe współczucie, wszyscy gapią się, jakbym trzymała w ramionach ciało Bailey i chyba tak właśnie jest. Jej śmierć oblepia mnie całą, mam wrażenie, że wszyscy ją widzą, jakbym miała na sobie wielki czarny płaszcz w piękny wiosenny dzień. Nie spodziewałam się za to bezprecedensowego szumu wokół nowego chłopaka, Joego Fontaine’a, który pojawił się podczas mojej miesięcznej nieobecności. Wszędzie słyszę to samo:

- Widziałś go już?
- Wygląda jak Rom.
- Raczej jak gwiazda rocka.
- Albo pirat.
- Słyszałem, że gra w kapeli o nazwie *Dive**.
- Podobno jest muzycznym geniuszem.
- Ktoś mi powiedział, że mieszkał w Paryżu.
- Grał na ulicach.
- Poznałaś go już?

Poznałam, bo kiedy wracam na swoje miejsce w szkolnej orkiestrze – to, które zajmowałam przez ostatni rok – właśnie on na nim siedzi. Nawet otępiała z rozpaczy, wędruję wzrokiem od czarnych butów, przez kilometry pokrytych dżinsem nóg, bezkresny tors, aż po twarz, która wydaje się tak ożywiona, że zastanawiam się, czy nie przerwałam mu rozmowy z moim pulpitem do nut.

* Ang. *dive* – zanurzyć się (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

– Cześć – mówi, zrywając się z krzesła. Jest wysoki jak drzewo. – Ty pewnie jesteś Lennon. – Wskazuje moje imię na krzesło. – Słyszałem o... Przepraszam.

Zwracam uwagę na sposób, w jaki trzyma swój klar-net: nie cacka się z nim, lecz zaciska na nim palce jak na mieczu.

– Dziękuję – odpowiadam, a wtedy całą jego twarz rozjaśnia uśmiech. O rany. Cóż to za egzotyczny wiatr go tu przywiał? Kolesz jest radosny jak szczypiorek na wiosnę, w przeciwieństwie do większości z nas, która ponure miny opanowała do perfekcji. Ma na głowie burzę brązowych loków, sterczących we wszystkie strony, a rzęsy wokół jego jasnozielonych oczu są tak długie i gęste, że kiedy mruga, wygląda, jakby nimi trzepotał. Jego twarz przypomina otwartą księgę, czy raczej ścianę pokrytą graffiti. Uświadamiam sobie, że kreślę palcem na udzie słowo *wow*, i postanawiam się odezwać, zamiast ciągnąć ten niespodziewany pojedynek na spojrzenia.

– Wszyscy mówią mi Lennie – oznajmiam. Może to i mało oryginalne, ale na pewno lepsze niż „eee”, które miałam w zanadrzu, a do tego załatwia sprawę. Joe na sekundę spuszcza wzrok na swoje stopy, a ja biorę oddech i zbieram siły przed rundą drugą.

– Nawet się nad tym zastanawiałem: Lennon po Johnie? – pyta, ponownie świdrując mnie spojrzeniem. Całkiem możliwe, że zemdleję. Albo stanę w płomieniach.

Kiwam głową.

– Mama była hipiską. – W końcu jesteśmy na północy północnej Kalifornii, rubieżach Popaprańcowa. Do samych tylko klas jedenastych chodzą Electricity, Magic

Bus oraz cały bukiet kwiatów: Tulip, Begonia i Poppy* – wszystkie te imiona zostały im wpisane do aktów urodzenia. Tulip jest chodzącą górą mięśni i pewnie zostałby gwiazdą szkolnej drużyny futbolowej, gdybyśmy ją mieli. Ale nie mamy. W naszej szkole można za to pomedytować rano w sali gimnastycznej.

– Tak – mówi Joe. – Moja mama też, i tata, a także ciotki, wujowie, bracia, kuzyni... Cała komuna Fontaineów.

Parskam śmiechem.

– Czaję.

Ale znowu – czy powinnam się tak swobodnie śmiać? I tak dobrze przy tym czuć? Zupełnie jakbym zanurzyła się w chłodnej rzece.

Odwracam się, by sprawdzić, czy ktoś nas przypadkiem nie obserwuje, i widzę, że Sarah właśnie weszła – a raczej wparowała – do sali muzycznej. Z poczuciem winy uświadamiam sobie, że od pogrzebu niemal przestałyśmy się widywać.

– Leenieeeee! – Pędzi w naszą stronę, ucieleśnienie gotki przemienionej w kowbojkę. Ma na sobie obcisłą czarną sukienkę w stylu *vintage* i kowbojskie buty, a blond włosy przefarbowała na tak ciemny kolor, że wyglądają jak granatowe, i przykryła imponującym kapeluszem rodem z Dzikiego Zachodu. Widzę, w jakim tempie się do nas zbliża, i przez chwilę zastanawiam się, czy skoczy mi w ramiona. Gdy rzeczywiście to robi, obie siłą rozpędu wpadamy na Joego, któremu jakimś cudem udaje się nie przewrócić, i wyłącznie dzięki temu nie wypadamy przez okno.

To właśnie Sarah w swojej powściągliwej wersji.

* Ang. *electricity* – elektryczność, *magic bus* – magiczny autobus, *tulip* – tulipan, *poppy* – mak.

– Nieźle – szepczę jej do ucha, gdy zamyka mnie w niedźwiedzim uścisku, mimo swojej ptasiej postury. – Właśnie powaliłaś boskiego nowego na kolana.

Sarah wybuchła śmiechem, a ja czuję się jednocześnie niesamowicie i nieswojo, trzymając w ramionach kogoś, kto trzęsie się ze śmiechu zamiast z rozpaczy.

Sarah jest najbardziej entuzjastycznie nastawioną do życia cyniczką na świecie. Byłaby fantastyczną cheerleaderką, gdyby nie odstręczała jej sama idea takiego wyrażania „ducha szkoły”. Ma fioła na punkcie literatury, tak jak ja, ale czyta o wiele mroczniejsze książki, na przykład w dziesiątej klasie wzięła się za *Mdłości* Sartre’a. Wtedy też zaczęła nosić się na czarno (nawet na plaży), palić papierosy (choć wygląda jak chodzący okaz zdrowia) i doznała kryzysu egzystencjalnego (wciąż imprezując do białego rana).

– Lennie, witaj z powrotem, kochana – odzywa się inny głos. Pan James, którego nazywam w myślach Yodą ze względu na jego wygląd i niezwykły muzyczny wpływ na uczniów, wstał od fortepianu, a teraz patrzy na mnie tym samym bezgranicznie smutnym wzrokiem co reszta dorosłych. – Wszystkim nam jest bardzo przykro.

– Dziękuję – odpowiadam po raz setny tego dnia.

Sarah i Joe również na mnie patrzą: Sarah z troską, a Joe z uśmiechem szerokim jak kontynentalne Stany Zjednoczone. Zastanawiam się, czy patrzy tak na wszystkich. Może jest walnięty? Cóż, niezależnie od przyczyny jego uśmiech jest zaraźliwy. Nagle uśmiecham się równie szeroko, dorównując jego kontynentalnym Stanom Zjednoczonym i dorzucając Portoryko wraz z Hawajami. Teraz pewnie sama wyglądam, jakby odwaliło mi od tej żaloby. Rany. Na domiar złego zaczynam się zastanawiać, jak by to było go pocałować,

tak naprawdę, ooo... I to jest problem, całkiem nowy, nie w stylu Lennie, który zaczął się (serio?!) na pogrzebie – tonęłam w mroku i nagle wszyscy ci chłopcy w pokoju rozbłysnęli. Koledzy Bailey z pracy i college'u, z których większości nawet nie znałam, podchodzili do mnie i mówili, jak bardzo jest im przykro. I nie wiem, czy to dlatego, że kojarzyłam im się z Bailey, czy dlatego, że mi współczuli, ale później przyłapałam niektórych z nich na wpatrywaniu się we mnie napiętym, przenikliwym wzrokiem. Odwzajemniałam ich spojrzenia, jakbym była kimś innym, myśląc o rzeczach, o których prawie nigdy wcześniej nie myślałam. O rzeczach, o których absolutnie nie powinnam myśleć w kościele, a już na pewno nie na pogrzebie własnej siostry.

Stojący przede mną chłopak, uśmiechnięty od ucha do ucha, promienieje niepowtarzalnym blaskiem. *Musi pochodzić z bardzo przyjaznej części Drogi Mlecznej*, myślę, próbując zetrzeć ten wariacki uśmiech ze swojej twarzy, lecz zamiast tego prawie wypalam do Sarah: *On wygląda zupełnie jak Heathcliff*. Właśnie bowiem zdałam sobie sprawę, że tak jest, no może z wyjątkiem uśmiechu. Zaraz potem nagle tracę oddech i twardo ląduję na zimnej betonowej podłodze, którą stało się moje życie, bo przypominam sobie, że nie będę mogła pobiec do domu po szkole i opowiedzieć Bails o nowym chłopaku w orkiestrze.

Moja siostra umiera wciąż na nowo, od świtu do nocy.

– Len? – Sarah dotyka mojego ramienia. – Wszystko gra?

Kiwam głową, starając się odpędzić pociąg rozpaczyny pędzący prosto na mnie.

Ktoś za nami zaczyna grać motyw muzyczny ze *Szczęk*. Odwracam się i widzę Rachel Brazile, która sunie w naszą

stronę, mamrocząc „Bardzo śmieszne” do Luke’a Jacobusa, saksofonisty odpowiedzialnego za akompaniament. Luke jest jedną z licznych ofiar Rachel zwiedzionych tym, że cała ta jej koszmarna wyższość została upchnięta w zabójczym ciele do kompletu z wielkimi sarnimi oczami i włosami Roszpunki. Obie z Sarah uważamy, że Bóg musiał być w przewrotnym nastroju, gdy ją stwarzał.

– Widzę, że poznałaś już Maestro – zwraca się do mnie Rachel, dotykając pleców Joego przed zajęciem swojego miejsca: pierwszego klarnetu, na którym powinnam siedzieć ja. Otwiera futerał i zaczyna składać instrument. – Joe uczył się w konserwatorium we Frąsji. Wspominał o tym? – Oczywiście nie mówi „Francja”, jak każdy normalny człowiek. Czuję, jak stojąca obok mnie Sarah się najeża. Nie toleruje Rachel, odkąd ta sprzątnęła mi sprzed nosa pierwszy klarnet, tylko że Sarah nie wie, co się naprawdę stało. Zresztą nikt tego nie wie.

Rachel zaciska ligaturę na ustniku, jakby próbowała udusić swój instrument.

– Joe był fenomenalnym drugim klarnetem pod twoją nieobecność – stwierdza, rozciągając słowo „fenomenalny” jak stąd do wieży Eiffla.

Nie uderzam w nią słowami: *Cieszę się, że wszystko ułożyło się po twojej myśli, Rachel*. W ogóle się nie odzywam, żałuję tylko, że nie mogę zwinąć się w kłębek i poturlać gdzie pieprz rośnie. Dla odmiany Sarah wygląda, jakby żałowała, że nie ma pod ręką topora.

Sala wypełnia się zgiełkiem przypadkowych nut i gam.

– Kończcie strojenie, chcę dziś zacząć równo z dzwonkiem! – woła pan James, siedzący przy fortepianie. – I wyjmijcie ołówki, wprowadziłem kilka zmian w aranżacji.

– Mam ochotę w coś przywalić – odzywa się Sarah, rzucając Rachel zdegustowane spojrzenie, po czym odchodzi w stronę swoich kotłów.

Rachel wzrusza ramionami, uśmiecha się do Joego. Choć nie, nie uśmiecha się – ona promienieje. O losie.

– Cóż, to prawda – mówi. – Byłeś... to znaczy, jesteś fenomenalny.

– A gdzie tam. – Joe schyla się, by spakować swój klarinet. – Jestem przeciętnikiem, tylko grzałem krzesło. Teraz mogę wrócić tam, gdzie moje miejsce. – Wskazuje klarinetem sekcję trębaczy.

– Jesteś po prostu skromny – kwituje Rachel, przerzucając swoje bajkowe pukle przez oparcie krzesła. – Wydobywasz tyle muzycznych odcieni z palety dźwięków swojego instrumentu.

Spoglądam na Joego, oczekując jakiegoś dowodu wewnętrznego sprzeciwu na tę idiotyczną uwagę, ale dostrzegam coś całkiem innego. Chłopak uśmiecha się do Rachel równie szeroko jak wcześniej do mnie. Czuję pełznące po karku ciepło.

– Wiesz, będzie mi ciebie brakowało – mówi Rachel, wydymając usta.

– Jeszcze się spotkamy – odpowiada Joe, dodając do swojego repertuaru trzepotanie rzęsami. – Choćby na historii.

Przestali zwracać na mnie uwagę, i dobrze, bo nagle nie mam pojęcia, co zrobić z twarzą, ciałem i rozwalonym sercem. Siadam na swoim miejscu, dochodząc do wniosku, że ten szczerzący się jak głupi do sera, wybałuszający oczy „Frąsuz” w niczym nie przypomina Heathcliffa. Myliłam się.

Otwieram futerał, wkładam stroik do ust, by go zwilżyć,
i zamiast tego przegryzam go na pół.

O 16:48 w pierwszy kwietniowy piątek

moja siostra grała Julię,
a niespełna minutę później

już nie żyła.

Ku mojemu zdziwieniu czas nie zatrzymał się
razem z jej sercem.

Ludzie nadal chodzili do szkoły, pracy, knajp,
wkruszała sobie krakersy do zupy z owoców morza,

stresowali się egzaminami,

śpiewali w samochodzie przy zasuniętych szybach.

Przez wiele dni deszcz walił pięściami

w dach naszego domu

na dowód okropnej pomyłki
popetrzonej przez Boga.

Każdego ranka po przebudzeniu

wstuchiwałam się w niezmordowane dudnienie,

patrzyłam przez okno na tę szarugę

i czułam ulgę, że przynajmniej cholerne słońce

miało w sobie dość przyzwoitości,

żeby trzymać się od nas z daleka.

(Znalezione na kawałku papieru nutowego wbitego na gałąź
w Wąwozie Skoczaków)